



Nie ma żadnych obcych ludzi w Krakowie

2021-12-28

W ostatnim dniu lutego 1881 r. rozlepiono w Krakowie klepsydrę informującą, że „X Eugeniusz Tupy Kanonik regularny zakonu św. Norberta, Proboszcz na Zwierzyńcu, Prezes sądu biskupiego w sprawach małżeńskich, Poddziekani, Członek wielu Towarzystw naukowych i Przewodniczący kilku Rad szkolnych, b. Inspektor szkół ludowych okręgu podmiejskiego itd., itd., przeżywszy lat 68, po krótkiej lecz ciężkiej słabości, opatrzony ŚŚ. Sakramentami, zasnął w Panu dnia 27 Lutego 1881 r.”. Na spoczywającym w czeluściach archiwalnych magazynach nekrologu ktoś dopisał ołówkiem słowa „wywieziony do Czech”.

Rzeczywiście ks. Eugeniusz Tupy spoczął na Wyszehradzie, gdzie „grzebią Czesi najwybitniejszych członków swojego narodu”. Wybór tak godnego miejsca pochówku nie był bezzasadny. Ks. Eugeniusz Tupy, piszący wiersze pod pseudonimem Boleslav Jablonský, był bowiem wybitnym czeskim poetą.

Jednak to nie czeskie wiersze sprawiły, że kiedy Kraków żegnał zmarłego zwierzynieckiego proboszcza, „zoslzelo nejedno polské oko”. Żał rzeczywiście był szczery, bo choć ks. Tupy z pewnością tęsknił do Pragi, to jednak swoje duszpasterskie i społeczne obowiązki wypełniał wzorowo, a było ich naprawdę sporo. Między innymi przez wiele lat zasiadał w zwierzynieckiej radzie gminnej. Rada uczciła jego pamięć na pierwszym posiedzeniu po ostatnim pożegnaniu zmarłego proboszcza. Szacunku tego nie osłabił czas. Potwierdza to wydarzenie, które miało miejsce 20 marca 1889 r., a więc w osiem lat po śmierci ks. Eugeniusza. Tego dnia krakowskie c.k. starostwo wystosowało pismo do rady gminy Zwierzyniec. Żądało w nim „zapłacenia na deficyt po śp. ks. Tupym kwoty 54 zł 40 kr.”. Prawdopodobnie chodziło o jakieś rozliczenie funduszu szkolnego, a jak wiadomo, wielu społeczników nie najlepiej radzi sobie z zawiłościami buchalterii. W protokole z sesji, która odbyła się 14 kwietnia 1889 r., zanotowano: „Rada uchwała deficyt ten ze względu na cześć dla nieboszczyka pokryć z funduszków gminnych”.

Napływowe precliczki

Ks. Tupy nie był jedynym Czechem, który w XIX wieku przybył do Krakowa. Wielu jego rodaków pojawiło się w Małopolsce po pierwszym rozbiore. Byli to urzędnicy austriaccy. W Wiedniu uważano, że znając słowiańską mowę, lepiej poradzą sobie w galicyjskim Barenlandzie, w dzikiej, niedźwiedziej krainie. Po roku 1846, kiedy Kraków znów znalazł się w granicach monarchii habsburskiej, pojawili się kolejni przybysze znad Węławy. Nazywano ich „precliczkami”.

Czeski ksiądz poeta wrócił – co prawda, po śmierci – do swojej ojczyzny, ale wielu jego rodaków osiadło na stałe pod Wawelem. Wszyscy wiedzą, że Czechem był ojciec Jana Matejki. Mało kto jednak pamięta, że także Józef Polivka, dziadek Adama Polewki, autora niezapomnianego wiersza „Któż wypowie twoje piękno, Krakowie prastary?”, przybył do Krakowa z północnych Czech, z miasteczka Dubá. Również rodzina Holoubków była krakowianami bardzo świeżej daty. Jeszcze ojciec artysty, czyli Gustawa Teofila Mariana trojga imion, urodzonego 21 kwietnia 1923 r., przyszedł na świat w miejscowości Čáslav koło Kutnej Hory.

Dwóch Antonich czeskiego pochodzenia zapisało się na trwałe w historii Krakowa. Wszyscy przecież wiedzą, gdzie jest restauracja „Hawelka”, oraz przynajmniej raz przejeżdżali przez rondo Matecznego. O Antonim Hawelce napisano już bardzo dużo, ale najbardziej przekonującym dowodem, że jego sława przekroczyła granice monarchii, jest fakt, iż w



Warszawie przed pierwszą wojną światową funkcjonował „Bar à la Hawełka”. Drugi z czeskich Antonich, Mateczny, przybył do podkrakowskiego wówczas Podgórze w latach 80. XIX w. Wszystko wskazuje na to, że był człowiekiem niezwykle obrotnym. Prowadził własne przedsiębiorstwo budowlane. Koniec XIX w. to czas, kiedy Podgórze rozwijało się bardzo intensywnie i dawało szansę dorobienia się ludziom zdolnym i pracowitym, a taki był właśnie Antoni Mateczny. Zarobione pieniądze należało w jakiś rozsądny sposób zainwestować. Kupił więc pan Antoni kawał ziemi na skraju miasta, przy końcu ul. Kalwaryjskiej. Inwestycja okazała się bardzo korzystna, a to za sprawą źródła wody mineralnej. W 1905 r. inżynier Antoni Mateczny otworzył swój zakład wodoleczniczy oferujący nie tylko wodę do picia, ale także kąpiele.

Byli też Bułgarzy

Krakowscy Czesi mieli swoją Czeską Besedę która mieściła się w kamienicy przy ul. Lubicz pod numerem 9. Z kolei krakowscy Bułgarzy, którzy pojawili się pod Wawelem prawdopodobnie w pierwszych latach XX w., spotykali się przez pewien czas w jednej z kamienic przy ul. Batorego. Jeżeli chodzi o obecność bułgarskich emigrantów, to trzeba przyznać, że Kraków nie był wyjątkiem. Już wcześniej bułgarscy ogrodnicy pojawili się w Stanisławowie oraz we Lwowie. Z reguły przybywali w zorganizowanych grupach, wydierżawiali kilka hektarów gruntu i zabierali się do pracy. Jak pisał Zbigniew Klejn, wybitny znawca relacji polsko-bułgarskich: „Ich sukces oparty był na wielkim wkładzie fizycznego trudu, i pracy trwającej od świtu do zmroku, przy użyciu prostych, ale nadzwyczaj skutecznych metod uprawy i specyficznych narzędzi, np. do rozsadzania flanc. Stosowano wyłącznie nasiona bułgarskie, glebę obficie nawożono, a rozsady hodowano w tzw. parnikach”.

Wiedza i intensywna praca szybko przynosiły efekty. Niektórzy z bułgarskich ogrodników wracali do ojczyzny z ciężko zarobionymi pieniędzmi. Inni pozostali na stałe w Krakowie, a właściwie na przedmieściach. Jeszcze dziś można usłyszeć opowieści o ich niezwykłym bogactwie. W owych relacjach pojawia się często legendarna psia buda – według jednych stała ona na Ludwinowie, inni gawędziarze lokują ją na Prądniku Czerwonym – pod którą rzekomo znaleziono skrzynkę pełną złotych monet. Jeżeli rzeczywiście tak było, to złoto owo wzięło się z wielu dziesięcioleci ciężkiej, uczciwej pracy. Nawet niezbyt życzliwi obcym przybyszom krakowscy ogrodnicy przyznawali, że Bułgarów cechuje: „nadzwyczajna pilność i wytrwałość w robocie, a przy tym niewielkie wymagania życiowe”.

Bułgarscy ogrodnicy, w przeciwieństwie do polskich, zdecydowanie preferujących nowalijki, specjalizowali się w warzywach późnych, jesiennych. Jesienią też pojawiali się w Krakowie „Bojkowie” ze śliwkami. Przywozili najpierw świeże owoce z sadów, których zdziczałe resztki może jeszcze dziś spotkać w czasie wędrówek po karpaccich ścieżkach. Później, ku pewnemu niezadowoleniu miejscowych kupców, zjawiali się z suszonymi. Na krakowskich ulicach pojawiali się też bardziej egzotyczni przybysze, czyli słowaccy druciarze, Albańczycy sprzedający laski i fajki, a nawet Włosi oferujący „graciki z marmuru”. Krakowianie przyjmowali ich wszystkich życzliwie, bo, jak pisał Juliusz Kaden-Bandrowski w jednym z opowiadań, „Nie ma żadnych obcych ludzi na świecie.”